

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

WYGNANIE Z RAJU.

Do babuni przyjechali
Na wakacye goście mali.
U tej babci był ogródek
A w ogródku miły chłódek.
Czarodziejski niby kraj
Istny raj.

Upomina wnuczki babka:
„W sadku są zielone jabłka,
Zjeść choć jedno broń was Boże!
Strasznie wam zaszkodzić może.
Wierzcie mi, że w nich i tak
Cierpki smak.

Choć przyrzekli, że nie ruszą,
Przecież jabłka widzieć muszą.
Więc w ogródek każde goni;
Tam na drzewie, na jabłoni
Gdzie najmilszy wieje chłód
Jabłka cud!

Poszły z raju swawolniki
Do niemieckiej gramatyki!
Przy niej zbiegł im ranek cały.
Ach! wtedy to poznały.
Odmieniając der, die, das,
Co to kwas.

Babcia kwasów zakazuje,
A nam właśnie kwas smakuje.
Myśli sobie para chwacka,
Więc na drzewo tak znieńacka
Raz... dwa... trzy -- już skoczył chwyt
Dobry brat.

Wszak to tylko dla siostruni
Adaś czyni — dla Ewuni.
A Ewuni serce mięknie
Z Adziem jabłko dzieli pięknie.
Dobre serce widać ma
Para ta.

Ale szczęścia chwila krótka:
Wpadła babcia do ogródka!
Kędy mała para jadła
Z parasolem babcia wpadła
I wznosząc go niby miecz
Rzekła: Precz!



Z życia Jasia.

I.

Jaś miał bardzo dobrego ojca. Można by było nazwać tego chłopczyka zupełnie szczęśliwym, gdyby nie to, że w dzieciństwie stracił matkę. Ojciec często opowiadał mu o drogiej matce, i Jaś więcej z tych opowiadań, aniżeli z własnej pamięci, wyobrażał sobie postać ukochanej matki. Chłopczyk, wychowujący się w mieście, był szczupły i mizerny, ojciec więc, zatruwiony o jego zdrowie, postanowił zawieźć go na wieś, do krewnych, aby Jaś nabrał sił i zdrowia.

Krewni ci byli to ludzie już w sędziwym wieku.

— Czy chciałbyś pojechać do babci? — zapytał Jasia jednego dnia pan Drzewicki.

Chłopczyk aż podskoczył z radości.

— O, chciałbym!... kiedy pojedziemy, ojczulku?

— W sobotę — odparł ojciec. — Ja wrócę do domu w poniedziałek, ty zaś zostaniesz czas jakiś na wsi.

— Bez tatusia? — zapytał zasmucony chłopczyk.

— Ja będę przyjeżdżał do ciebie 'w każdą niedzielę — pocieszał go pan Drzewicki — u dziadków źle ci nie będzie. Przecież jesteś mężczyzną.

Był to najlepszy sposób podniecenia energii Jasia, który wtedy nie uważał się już za dziecko. Pozbierał swoje zabawki i na drugi dzień był już gotów do drogi. Żegnając się z ojcem, rozplakał się szczerze.

Dziadek i babcia byli dla niego bardzo dobrzy, a wieś w lecie tyle przedstawiała przyjemności, że Jaś nie miał czasu smuć się długo. Biegał na łąki, gdzie koszone siano, potem w pole do żniwa. Ruch i świeże powietrze wpłynęły na niego zbawiennie, urósł, opalił się i zmężniał. Ojciec nie mógł się nacieszyć jego widokiem.

Zbliżała się zima, pan Drzewicki chciał zabrać Jasia do miasta, lecz dziadek stanowczo się temu sprzeciwił.

— Zostaw nam chłopca — mówił — patrz, jak zdrowo wygląda!

— Ale cóż on tu robić będzie podczas długich wieczorów zimowych? — pytał pan Drzewicki.

— Ja go będę uczyła czytania i pisania — rzekła babcia.

Jaś tak polubił życie wiejskie, że nie bardzo się już nacieszył, aby go ojciec zabrał do miasta.

Pan Drzewicki uległ wreszcie naleganiom krewnych i zostawił u nich syna.

Jaś pierwszy raz w życiu spędził zimę na wsi, to też trudno wyobrazić sobie jego uciechę, gdy zobaczył pola, zasłane puszystym śniegiem, z którego mógł lepić kulki i ciskać nimi w in-

nych chłopców, a co przy tem było śmiechu i żartów! Jaś wracał z tych przechadzek z zarumienioną od zimna twarzą i doskonałym apetytem. Wieczorami uczył się czytania i pisania, aby zrobić ojcu niespodziankę na Boże Narodzenie.

Nadeszły wreszcie upragnione święta, choinka obwieszona łakociami, zajaśniała jarzącym światłem, a pod choinką leżały książki i zabawki dla Jasia.

Dzień ten jednak nie zakończył się dlań wesoło, gdyż po Wigilię ojciec oświadczył, że zmuszony jest wyjechać z kraju na kilka miesięcy i ma się rozumieć przez ten czas z Jasiem widywać się nie będzie. Jaś się rozplakał i powtarzał z uporem, że i on pojedzie z ojcem, że ojciec musi go zabrać ze sobą. Nie łatwo ojcu było go uspokoić.

— Jeszcze jesteś zbyt młodym na odbycie takiej podróży — tłumaczył pan Drzewicki synowi — trzeba przepłynąć morze.

— Morze, ojczulku? — powtórzył ze zdziwieniem Jaś. — Czy to taka wielka, wielka woda?

— Tak, mój chłopcze! — Dokąd ojculek jedzie?

— Do Algieru, w interesie firmy handlowej, w której pracuję — odpowiedział pan Drzewicki, a Jaś znowu pytać zaczął, co to za kraj ten Algier?

Pan Drzewicki musiał mu wyjaśnić, że Algier znajduje się w części świata zwanej Afryką i że płynie się doń przez morze Śródziemne.

Jaś bardzo płakał, gdy ojciec odjeżdżał, i z upragnieniem wyglądał od niego listu. Z początku wiadomości przychodziły bardzo regularnie, lecz w kilka miesięcy po wyjeździe pana Drzewickiego ustały zupełnie. Dziadek i babcia martwili się tem bardzo; dziadek przeglądał wszystkie gazety, lękając się czy ojca Jasia nie spotkało jakie nieszczęście na morzu. Lecz ani zła, ani dobra wieść nie nadchodziła, a czas upływał i wicsna się zbliżała.

II.

Nietylko tygodnie, ale i miesiące mijały, a wieść żadna nie przychodziła od ojca Jasia. Chłopcu, gdy wspominał o ojcu, na płacz się zbierało, ale po chwili zapominał o swoim zmartwieniu i bawił się z całą swobodą, właściwą wiekowi dziecinnemu.

Pewnego dnia dziadzio powiedział, że naza jutrz o wschodzie słońca musi się udać do sąsiedniej wioski, gdzie miał dobrego znajomego, zanego plebana.

— Zabiorę i ciebie — rzekł — na tę wy-cieczkę.

Chłopiec ucieszył się niezmiernie.

— A czy Wiernus pójdzie także z nami? — zapytał.

Wiernuś był to duży, biały wyżeł, wielki ulubieniec Jasia.

— Ma się rozumieć! — odpowiedział dziadek.

Jaś wcześniej udał się na spoczynek, aby mógł nazajutrz wstać rano, ale z wielkiej uciechy długo nie mógł zasnąć, a gdy wreszcie zmrzył oczy, śniło mu się, że szedł przez wielki las, pełen jagód i kwiatów.

— Wstawajże, śpiochu, bo później upał nam dokuczać będzie — posłyszał nad sobą głos dziadka i zerwał się na równe nogi.

Wkrótce dziadek, Jasio i Wiernuś doszli do skraju lasu i zapuścili się drogą wiodącą do sąsiedniej wioski. Promienie wschodzącego słońca oświecały pnie drzew i lśniły się jak brylanty w kroplach rosy. Mocny zapach żywicy unosił się w powietrzu. Ptaki świergotały wesoło.

— Ach, jak tu ślicznie! — zawołał Jasio, który nigdy tak daleko nie był w lesie. — A co tu poziomek! — dodał i pobiegł zbierać trochę jagódek, które wnet przyniósł dla dziadzi.

Wiernuś również był uszczęśliwiony tym porannym spacerem: biegał na wszystkie strony i poszczekiwał radośnie.

Szli tak z dobrą godzinę. Jasio czuł się już bardzo zmęczonym, gdy dziadek rzekł do niego:

— Patrz, już widać Zalesie!

— Ach, jak to dobrze! — odpowiedział chłopczyk — bo mnie już nogi bardzo bołą i jeść mi się chce...

— Jeżeli jesteś tak bardzo głodny, to mam dla ciebie chleb z masłem, który babcia włożyła mi do kieszeni — rzekł dziadzio i wyjąwszy chleb, podał go Jasiowi.

Jeszcze chyba żaden przysmak nie smakował tak chłopcu, jak ten chleb z masłem.

— Jaka babunia dobra, że o mnie nie zapomniała — mówił, zjadając chleb smacznie.

Wkrótce doszli do wioski i zatrzymali się przed plebanią.

Zacny ksiądz proboszcz, spostrzegłszy dziadka, którego znał od dawna, wyszedł na jego spotkanie i zaprosił go do domu.

Skoro usiedli na ławeczce w ganku, dziadek rzekł do Jasia, aby obejrzał kwiaty w ogrodzie, a skoro chłopiec oddalił się, zapytał plebana:

— I cóż, mój dobrodziej, jest jaka nadzieja?

— Niczego się nie dowiedziałem — odparł zapytany. — Dopiero wczoraj wróciłem z Warszawy. W biurze o panu Drzewińskim nie ma wiadomości i żaluję go szczerze. Mówią, że prawdopodobnie utonął podczas podróży morzem.

Po tych słowach zapanowało głuche milczenie.

Dziadek opuścił głowę na piersi i w smutnej pogrążył się zadumie.

— Cóż robić? — mówił zacny proboszcz — smutek nie tu pomódz nie może, trzeba się zgozić z wolą Boga.

— Tak, ale co ten biedny sierota precnie sam na świecie? My jesteśmy już wiekowi.

— Trzeba, ażeby się chłopiec uczył czegoś. Najlepiej byłoby, gdyby go pan zostawił u mnie krzywdy by nie miał, a zawsze cośby [skorzystał.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Boży znak.

(Dokończenie).

— Spoczniecie u nas, jeśliście tu obcy, damy wam słomy na posłanie, ale musimy z Marzanną skończyć.

Wędrowiec usiadł, a kobiety zabrały się do roboty. Wzięły dwie żerdzie i zawiązały je z sobą w krzyż.

— Czy wy wiecie — zapytał nieznajomy, że tak związane drewna są znakiem nowej wiary tu zaprowadzonej?

Kobiety spojrzały po sobie ze zdziwieniem, a młodsza zawołała:

— Matusiu! toż całkiem taki znak Mieszko założył na świątyni Pośwista na Wawelu, co ją teraz kościołem nazywają.

— Taki! — jakby pytając, powtórzyła stara poganka i z niechęcią patrzyła na rozpoczętą robotę. Po chwili spytała gościa:

— Zkąd przyszło to na myśl, że to podobne do nowego znaku wiary? Ja tyle lat Marzannę ubieram i topię, a nigdy mi to na myśl nie przyszło?

Podróżny nie na to nie odpowiedział.

Chwilę panowała cisza, kobiety żerdzie uwiązały słomą potem ubrały w koszulę i spódnicę, dały chustę na głowę, a postać ta istotnie była jakoby podobna do śmierci wyciągającej rękę, by chwycić wiele ofiar.

— A czy wam tu służalcy króla Bolesława pozwolą topić Marzannę teraz, kiedy już jest nowa wiara zaprowadzona? — zapytał nieznajomy.

— O, my nie pytamy się o to — odrzekła stara. Ja jestem wdową po ostatnim kapłanie z świątyni Pośwista, a dokąd ja żyję, lud nie zapomni starej wiary i starych obyczajów. Pójdziemy rano skoro świt i utopimy Marzannę; zanim pachołkowie się zgiegną, my już pouciekamy.

Jak stara mówiła, tak się istotnie stało.

O świcie zbudził podróżnego szmer. Kilka naste osób było już w izbie, gdy się obudził, a

ci, wzięwszy balwana na rękę wynieśli go cichaczem i podnieśli wysoko jak chorągiew, szli z nim do rynku.

Nieznamy zebrał się prędko i poszedł za nimi.

Do niosących balwana, przyłączyli się coraz nowi towarzysze, a wszyscy szli cicho, jakby się lekali kogo spłoszyć. Przyszedłszy do końca Grodzkiej ulicy, a początku rynku, zatrzymali się przy małym jezioru.

Tu znów liczne gromady ludzi czeujących jeszcze pogańskie bogi, przyłączyły się, a wtedy zabrzmiała pieśń chórem:

„Śmierć się wije u płotu
Szukająca kłopotu“.

Gdy wszyscy stanęli około jeziora, poczęli ubranie zdejmować, a śpiewając dalej pieśń ową, wrzucili balwana w wodę, sądząc, że topią z nim zimową porę, w chwili powrotu wiosny.

A gdy Marzanna została utopiona, wtedy wszyscy poczęli uciekać czempredzej, bo ktoby nie uciekał, albo uciekając, obrócił, pewnie umrze tego roku, lub dozna większego nieszczęścia.

Gdy tak wszyscy się rzucili do ncieczki, a przy jezioru nikt nie został prócz nieznanego podróżnego, schylił się on prędko, wyjął żerdzie owinięte słomą, słomę zdarł, a żerdzie w krzyż związane wznosił wysoko, wołając co siły:

— Stójcie!

Głos silny rozległ się daleko. Mimowoli każdy stanął i obróciwszy się, patrzył w stronę, z kąd ten głos pochodził.

Lecz przypominano sobie, że ani stawać, ani wracać się nie wolno, więc znowu próbowano ncieczki, ale ten sam głos silny i rozkazujący zawołał: Stać!

— Oto patrzcie, w utopionej śmierci, znachodzi się znak życia wiecznego. Nowy znak wiary prawdziwej powstaje na grobie bóstwa śmierci i pradziadów naszych, patrzcie; to taki sam znak, jaki złożył się na szczycie zamku i nowego kościoła.

Słowa te silne zrobiły wrażenie.

Lud zebrał się około mówcy, a ten słowami natchnionymi porywał jego serce. Opowiadał w krótkości historię starego testamentu, przeszedł do nowego, a mówił tak, że i każdy najbardziej nowej wierze przeciwny rozczulał się i pojmował treść nowej wiary.

Jak długo to trwało, niepodobna wiedzieć, dość że gdy nieznamy skończył, tłum ludu upadł na kolana i łzami skrapiał brzegi jeziora.

W tej chwili ozwały się trąby. Ziemia jaknęła pod kopytami, król Bolesław Chrobry z rycerzami wjechał na rynek.

Obaczywszy mówcę, zbliżył się i zawołał:

— Witajcie Wojciechu? Szczęść Boże wam na ziemi mojej.

Był to bowiem święty Wojciech, idący na Pomorze. Zyskał on wtedy wiele serc dla pra-

wdziwej wiary, a lud go aniołem i posłańcem bożym nazwał.

W parę lat potem, w miejscu, gdzie stało jezioro, wybudował Bolesław kościół. Stoi on do dziś. Jest to mały kościółek świętego Wojciecha.

Na miejscu, w którym ostatni raz utopiono pogański znak, zabłysnął na wieżycze kościoła nowy znak, znak boży, krzyż z rozpiętymi ramionami. Pokonał on śmierć, a otworzył drogę do życia wiecznego.



ŁAMIGŁÓWKI.

Pierwsza krętymi szlaki ku Renowi bieży.
Drugie trzecie odnowę nadają odzieży.
Wszystkie zaś, to swych krajów prawowite sługi,
Lecz nie Każdy je może mieć na swe usługi,
Biją one, lecz tylko według władzy woli,
Ta ich czynność wszelako nikoga nie boli,
Owszem wielki pożytek przynosi to bicie.
Bo kraj w różną monętę zasila obficie.



Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 31.

	I.
	K
	K O T
	O N I
N A R E S Z C I E	
K O N S T A N T Y	
	Ł A N
	G N U
	K T O
	R Y K
	O N O
	P O L
	Ś P I
	K O S
	U L E

Dobre rozwiązanie łamigłówek z nr. 29 „Aniola Stróża“ nadesłał Augustyn Hirsch z Koponiewa. — Z nr. 30 Konstancja Głowczewska z Kaszuby. — Z nr. 31 F. Gołębiowska z Morainów.

